N° 4.

Bióro Redakcji przy ulicy Solnej Nr. 715, w Warszawie.

Prenumeratorowie stali Opiekuna Domowego, — nadsyłający prenumeratę wprost do Redakcji, otrzymują w dodatku Czytelnię Domową, zawierającą w sobie wybór powieści, romansów, dramatów i tym podobnych dzieł treści bellletrystycznej.



Warszawa, dnia 16 (28) Stycznia 1871 roku.

ROK VII.

Serja Druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop 33¾). Skład główny dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda Hösicka, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u Leitgebera, — *we Lwowie* u Wilda Karola, *w Żytomierzu u* Budkiewicza księgarza.

POSTĘP NASZEGO PRZEMYSŁU.

Nie licząc do przemysłowców osób zajętych kupiectwem, lub przewozem ludzi i towarów na rzekach, kolei żelaznéj i innych drogach, wynosi w Królestwie Polskiém ludność zajęta przemysłem 3,5 (3½), najwyżéj 3,75 (3¾) % całkowitéj ludności Królestwa Polskiego. W krajach podobnie zaludnionych a celujących przemysłem, zajmuje się nim, bez szkody dla rolnictwa, 3 razy tak wielka część całkowitéj ludności miejscowéj. Przemysł nie czyni uszczerbku rolnictwu. O ile rąk odrywa od roli i powiększa cenę roboty ręcznéj, o tyle powiększa zarazem cenę płodów surowych i podaje sposoby do zastąpienia w rolnictwie roboty ręcznéj czynnością machin. Dowodem tego pomyślniejszy stan rolnictwa w okolicach każdego kraju, kwitnących przemysłem, niżeli w tych, które jedynie rolnictwem są ożywione. Skutkiem nadto powolnego postępu naszego przemysłu nie doznają u nas niektóre płody surowe, potrzebnego przerobienia i marnuje się wiele sił i zdolności przez niewłaściwe lub niedostateczne ich zajęcie. Nowe potrzeby wzywają nas, a postęp oświaty pozwala nam brać większy udział w przemyśle i kupiectwie.

Warunkiem spieszniejszego postępu naszego przemysłu i handlu, jest upowszechnienie właściwych o nich pojęć. Większa bowiem część ludności naszéj mylnie się jeszcze na nie zapatruje. Uważa ona wszelkie wyzyskiwanie cudzych potrzeb za właściwą zdolność przemysłowo-kupiecką i za główną rękojmię powodzenia w przemyśle i handlu. Fałszywy wstyd w zdawaniu sprawy spólnikom swoim z dochodów i wydatków przedsiębierstwa, wstrzymuje ludzi takiego usposobienia od stowarzyszenia się z drugimi. Nieumiejętność obliczenia kosztów produkcji i prowadzenia rachunków, nie pozwala im wiedzieć w któréj części przedsiębiorstwa potrzebna jest oszczędność, a którą powiększyć i rozwinąć wypada. Spekulanci nieumiejętni, szukają zawsze zysków ogromnych i mają za nic małe, choćby najczęstsze. W naukę, gust, pracę i akuratność mają tém mniéj wiary, im mniéj są ukształceni.



Gertruda Komorowska. (Str. 30).

Im więcéj postępuje oświata i wolność, tém mniéj może partactwo liczyć na swoję wymowę, na pozorną taniość lichego wyrobu i na gotowość kredytowania ludziom lekkomyślnym i rozrzutnym. Wolna konkurencya jest prawdziwym biczem bożym na partaczy. Zakłady wielkie, kosztowne, rzetelne i właśnie dla tego celujące rzetelnością, że najmniejsza wątpliwość w nią przynosi im szkodę, powinny być w ciągłéj pamięci spekulantów nieumiejętnych.

Najwłaściwszém przedsiębiorstwem nowém, jest dla każdego zawodu to, czego w dotyczącym się zawodzie, w obranéj miejscowości zupełnie brakuje lub niedostaje. Wyśledziwszy jaki może być prawdopodobny najmniejszy odbyt na przedmiot niedostający i co jest powodem jego niedostatku w obranéj miejscowości, ma się pewne skazówki dla swego przedsiębiorstwa. Na pozór zdaje się, iż żaden fabrykant nie wie jakim będzie odbyt na jego wyrób i że każdy z nich liczy na użyteczność i taniość swego produktu. Tak jest rzeczywiście i nie ma ztąd żadnéj szkody dla wyrobów, których nie ma dosyć w kraju i sprowadzane być muszą z zagranicy. Są jednak i takie, których odbyt, pomimo znacznego zniżenia ceny, staje się o wiele trudniejszym, niżeli był przed kilku laty. Postęp handlu, przez pomnożone koleje żelazne i podniesiony dobry byt między ludnością żyjącą z swéj pracy, jest rękojmią odbytu dla bardzo wielu produkcyj, mnożących się bez żadnego rachunku; ale ufność ta nie jest dla wszystkich produkcyj pewną. Bezpieczniéj jest przed rozpoczęciem zamierzonéj produkcyi wymiarkować potrzeby, zamożność, gust i wielkość ludności mającéj być jéj konsumentem.

Jakie zakłady są korzystniejsze: małe, czy duże, samodzielne, czy spółkowe? Wielkie zakłady przemysłowe produkują zawsze taniéj niżeli małe. Przyczyną tego jest oszczędność miejsca i opału

w zakładach wielkich w porównaniu do małych. Podział pracy w zakładach wielkich, często niemożebny w małych, czyni łatwym dobór zdolności specjalnych i użycie machin, które mogą być czynne we dnie i w nocy i działają regularniéj i taniéj niżeli ręce ludzkie. Niektóre wyroby nie mogą być z zyskiem w małym rozmiarze produkowane np. cukier z buraków, żelazo z jego rudy, fajans i porcelana z właściwych im materyałów. Produkcye natomiast, przerabiające materyały, które zdaleka bez szkody, lub wielkich kosztów sprowadzane być nie mogą, muszą ograniczać się na materyale miejscowym np. fabryka séra, wina owocowego, konserwowanych owoców i warzyw. Chociaż i pod tym względem sprowadziły statki parowe i koleje żelazne olbrzymie już zmiany. Dzięki doskonałości nowoczesnych środków przewozu, przerabia Anglja u siebie rudy miedzi zwożone z Chili i innych krajów południowéj Ameryki.

Odwaga skojarzona z wytrwałością i zdolnością, dokazuje częstokroć wielkich rzeczy w przemyśle i handlu. Ludzie energiczni i pomysłowi, dochodzą w ciągu kilkunastu lat z małych początków, do wielkich majątków. Jestże to dowodem, że przedsiębiorstwa samoistne są dla wszystkich korzystniejszemi od spółkowych? Na sto przedsiębiorców samodzielnych, dochodzi kilkunastu do świetnych wypadków, trzydziestu kilku upada, a reszta musi zadawalniać się miernem powodzeniem. Dogodnościami własnego, samodzielnego przedsiębiorstwa są: zupełna swoboda zmian, powiększenia, zmniejszenia, lub przeniesienia swojéj produkcji, podług potrzeby, tudzież przyłączenia do innéj lub oddzielenia od niéj i ryzykowania podług swoich widoków i interesów. W naturze rzeczy leży, że wysilenia, które się chętnie robi w interesie własnym, stałyby się uciążliwą niewolą, gdyby je zarazem dla drugich ponosić wypadło. Jeden człowiek łączy w sobie rzadko kiedy przymioty, które z łatwością w kilku osobach dobrane być mogą. Dla tego w wyjątkowych przypadkach korzystniéj jest cały ciężar nowego przedsiębiorstwa brać wyłącznie na siebie, niżeli podejmować go wspólnemi siłami.

Spółka może być: otwartą, komandytową, towarzystwem akcyjném, albo stowarzyszeniem produkcyjném.

Zaletą każdéj spółki jest zmniejszenie ryzyka, a powiększenie kapitału i zdolności. Różne spółki posiadają te zalety w różnym stopniu.

Gdzie nie chodzi o zebranie wielkiego kapitału, tam najwłaściwszém jest towarzystwo produkcyjne czyli stowarzyszenie wszystkich osób należących do przedsięwziętéj produkcyi. Zaletami spółki tego rodzaju jest wielka pewność powodzenia przedsiębiorstwa, tania i łatwa kontrola i niemożebność wielkiego zadłużenia. Słabemi stronami stowarzyszenia produkcyjnego są, brak powagi, trudność zgody, tém większa, im niższy jest stopień ukształcenia spólników, trudność rozwinięcia przedsiębiorstwa, zrobienia z niém zmian, lub przeniesienia go w razie potrzeby do innéj miejscowości.

Zaledwie połowę zalet towarzystwa produkcyjnego, a wszystkie jego wady ma spółka otwarta. Dobrą jest ona tylko między wiernymi sobie przyjaciołmi. Przewidywać można, że wkrótce żaden porządny robotnik nie zechce być stałym współpracownikiem przedsiębiorstwa, którego zyskami i stratami nie byłby wspólnie z właścicielem interesowany. Twierdzimy wszyscy iż rzetelność jest obowiązkiem. Bardzo słusznie, ale dla czegóż ma być obowiązkiem robotnika tylko względem właściciela? Dla czego nie ma być obowiązkiem wzajemnym?

Spółka komandytowa i na akcyje, nadaje się do wielkich przedsiębiorstw, które wymagają znacznych kapitałów. W spółce komandytowéj są za jéj czynności i długi ci tylko wspólnicy całém swém mieniem odpowiedzialni, którzy są jéj pełnomocnikami. Reszta spólników odpowiada za długi wspólnego przedsiębiorstwa, tylko w wysokości swoich wkładek. Zaletami spółki komandytowéj i akcyjnéj jest możność zajęcia wielkich zdolności finansowych, czyli kupieckich i swoboda w robieniu potrzebnych zmian. Ich wadami są: łatwość wielkiego zadłużenia i nadużycia zaufania reszty spólników, przez kierowników spółki.

W przedsiębiorstwach nowego pomysłu, których użyteczności małym kosztem przez próby dowieść nie można osobom, mogącym być spólnikami, lepiéj jest poprzestać na mniejszym kapitale własnym, niżeli przystać na trudne warunki spółki potrzebnéj do urzeczywistnienia swego projektu w większym rozmiarze. Zastanawiając się nad tém, że pomyślność każdego przedsiębiorstwa, czy ono małe cza duże, poczynające czy ustalone, zależy od doskonałości wszystkich jego szczegółów, przyzna każdy, że szczera pomoc wszystkich współpracowników, przez zainteresowanie ich powodzeniem zakładu w którym pracują, jest rzeczą gospodarności i słuszności. Im mniéj będą w stanie zakłady małe współzawodniczyć z wielkimi, im więcéj postępować będzie oświata, a z nią rzetelność, tém mniéj będą mogły mierzyć się w swém powodzeniu zakłady samodzielne z prowadzonemi przez stowarzyszenia produkcyjne.

Przychodzimy do pytania, czy pod względem przemysłu lepiéj jest trzymać się wsi, czy miast? Za wsią przemawia niższa cena potrzebnéj przestrzeni i możność lepszego zużytkowania odpadków zdatnych na nawóz. Pod każdym innym względem, zasługuje miejscowość zamieszkana przez ludność oświeconą i pracowitą na pierwszeństwo, nad zaludnioną przez mieszkańców opieszałych i ciemnych.

Zkąd czerpie nasz przemysł swoje wzory, sposoby nowe i w ogóle środki do postępu? Głównie z Niemiec, mniéj z Francyi, jeszcze mniéj z Anglii, a najmniéj ze Stanów Zjednoczonych Północnéj Ameryki. Zkądże narody mieszkające w rzeczonych krajach zasilają się w nowe pomysły gustu i pożytku? Wszyscy ich uczeni uważają się za jedno bractwo, powołane do nieustannéj pracy nad powiększaniem i szerzeniem wiedzy ludzkiéj. Każda wiadomość naukowa rozchodzi się szybko przez pisma czasowe z jednego kraju do drugiego, zostaje kontrolowaną, sprawdzoną i podjętą pod względem swéj wartości naukowéj zarówno jak praktycznéj. Wiadomości czysto naukowe doznają w pismach, z dążnością praktyczną, równie gościnnego przyjęcia, jak najprostsze uwagi i dostrzeżenia praktyków. W tym udziale powszedniéj praktyki w postępie nauki i na odwrót w przychylném usposobieniu najzdolniejszych potęg naukowych dla potrzeb i wymagań praktyki, wyrabia się obustronny postęp. Niemcy mają doskonałe, ustalone i powszechnie znane i cenione pisma techniczne i tyczące się spraw gospodarstwa społecznego; mogliby zatém obejść się bez umieszczania artykułów téj treści w swoich pismach politycznych, a tém bardziéj w przeznaczonych do rozrywki. Pomimo to, najznakomitsze dwa belletrystyczne pisma niemieckie: „*Illustrirte Zeitung* i *Gartenlaube*" zawierają zawsze mniéj lub więcéj pierwsze wiadomości techniczne, a jedno i drugie należące do gospodarstwa społecznego. My nie mamy wcale osobnego pisma technicznego. Artykuły treści technicznéj nie śmią u nas, pod karą odstręczenia czytelników od pisma które je podaje, inaczéj występować, jak w stanie wiadomości ciekawych. Czy przemysł jest w stanie zasilać się i postępować mocą wiadomości podjętych tylko z ich strony ciekawéj? Z nieufności w umiejętność pewnéj a wielkiéj części naszych przemysłowców, powstał rodzaj naukowo-technicznéj zabawy w ślepą babkę. Zabawą tą jest pisanie artykułów technicznych i należących do gospodarstwa społecznego, z oczami zamkniętemi na potrzeby tych, którzy z nich korzystać mają.

Chwalebny dzisiejszy kierunek młodzieży naszéj, która ukończywszy szkoły wyższe, wstępuje na praktykę do zakładów przemysłowych, pomimo często bardzo przykrych przesądów dotykających ją pod nazwą zwyczajów cechowych i fabrycznych, pozwala spodziewać się, że i te ustąpią—i pod wpływem prawdy i światła, wciskając się we wszystkie czynności ludzkie—wiadomości naukowo-techniczne, doznawać będą w przemyśle naszym téj wziętości, jaką mają za granicą, — a wtedy, pod wpływem prawdziwie ukształconych przemysłowców — i kraj nasz zakwitnie i dobrobyt jego niewątpliwie się podźwignie.

J. B. Rogojski.

PIĘĆ SONETÓW.

I.

Pierwsza znajomość.

Pierwszy raz ją zobaczyłem—i obojętnie
Odwróciłem od niéj myśli senne i oczy,
Choć—pamiętam—wyglądała bardzo ponętnie,
Z dumném, bladém liczkiem, w ramach czarnych warkoczy.

Na mnie ona również popatrzyła niechętnie....
Potém—potém—czar jéj śmiechu melodyjny, uroczy,
Spływać zaczął w piersi me łagodnie i smętnie,
Jak na groby ciche strumień światła przezroczy.

Brzmiało mi w nim jak gdyby młodości méj echo...
I lubiłem słuchać muzyki tego śmiechu...
Czasem—zrzadka—przemawiałem do niéj;—lecz ona,
Jak ptaszyna drobna od jastrzębia spłoszona,
Słówek kilka rzuci mi, bywało w pośpiechu—
I oczęta spuści w ziemię, cała spłoniona.

II.

Rozmarzenie się.

Potém wzrok jéj z każdą chwilą słodszym się stawał;
Głos nabierał czarującéj, rzewnéj miękkości...
Ptaszek w sercu mojém gniazdka szukać się zdawał—
I nie lękał się już gruzów jego ciemności.

Był to kwiat ostatniéj w życiu mojém miłości!...
On ruinie wdzięk i uśmiech szczęścia nadawał...
Rosą bożą więdniejący duch się napawał,—
I otwarłem pierś dla dawnych, miłych jéj gości:

Kilka kwiatków jesiennych nadziei i wiary.
Umaiło grób zapadający się stary....
Och! tak braciom tylko miła młodsza siostrzyczka,
Albo ojcu, który syna złożył na mary,
Tak miłemi córki drobnéj stają się liczka,
Jak mnie droga była śliczna moja różyczka.

III.

Dalszy ciąg.

Smutne pośród zgliszcz i mogił życie gasnące,
Kiedy w piersiach serce jeszcze bije gorące,
A pod czaszką myśli starych orszak pogrzebny
Jęknie: ach, nikomu jesteś już niepotrzebny!

Dość już tego!... płonny żal i niezbyt chwalebny!...
Słabo świeci płomię, śród pustyni płonące;
Lecz gdy śniegi jéj rozmiecie wicher podniebny,
Każdy zbliża do ogniska członki stygnące.

Tak i ja tęskniłem do płomyka jéj słowa,
Choć nie zawsze myślą mądrą ono świeciło—
I najczęściéj—prawdę mówiąc—nasza rozmowa
Była (jakby to powiedzieć grzecznie?)... jałowa.
Lecz niestety! sercu kochać zawsze tak miło!...
Słyszeć, patrzeć na nią... dość do szczęścia mi było...

IV.

Dalszy ciąg.

Wkrótce jednak szczęście to jak sen się rozwiało...
Ach! widocznie trosk i zgryzot miałem zamało!...
Anioł mój, któregom tak pokochał niezmiernie,
Własną ręką skroń zbolałą oplótł mi w ciernie.

Z metalicznych słów jéj nagle zimno powiało;
W ścieg z perełek martwych uśmiech ściął się misternie,
W końcu słowa—śmiech—wszystko—w milczeniu skonało,
Zgasła przyjaźń... gniew i niechęć w sercu trwa wiernie.

Smutno mi—smutno!... Możesz powinszować sobie,
Że śmiertelny ten cios ty, ach, ty mi zadałaś;
Że pochyliłem czoło po tobie w żałobie,
Bądź szczęśliwa!... W sercu mém czytać nie umiałaś:
Lecz zapomnienia chwilę króciutką mi dałaś....
Żegnam Cię!... nigdy już nie narażę się tobie...

V.

E p i l o g.

Nie ja powinienem upadać duchem,
I ronić łzy upokorzenia krwawe,
Na widok twój i słowa niełaskawe....
Nie! raczéj śmiech z wejrzeniem wzgardy suchém
Należy tym, co depczą serca prawe,
I potrząsając złotych pęt łańcuchem,
Igraszkę sobie czynią i zabawę
Ze szczęścia ran, niestrasznych krwi wybuchem!...

Nie ja, z umarłą w piersi wiarą w Ciebie,
Lecz ty, odarta z czarów twych purpury—
Tak piękna niegdyś w marzeń moich niebie —
Gdy dzisiaj obraz twój promiennopióry
Pośmiertna myśl obleka w żalu chmury, —
Ty—płacz na własnym w sercu mém pogrzebie!..

Leonard Sowiński.

JAN KRÓLIKOWSKI.

(Dokończenie).

Smutne położenie rodziców — niezmiernie bolało młodego Jana, tymbardziéj, że do maleńkiéj izdebki na Grzybowskiéj ulicy, którą z ojcem zajmował, zajrzała nędza, w prawdziwém i najstraszniejszém tego słowa znaczeniu. Często nie było nawet parę groszy na kawałek chleba. W pośród takiego opłakanego stanu rzeczy, Jan nie zapomniał jednak o kształceniu swojego umysłu. Wyciągał książki, jedna po drugiéj, powstałe jeszcze z dawniejszych czasów i w samotnéj izdebce, bo ojca nigdy prawie w domu nie było, uczył się i czytał. Doszło w końcu już do tego stopnia, że Jan zmuszony był udać się do kommisarza administracyjnego Spinera, z którego synem chodził do szkół, prosząc go o jakiekolwiek zajęcie. Komisarz ulitował się nad biednym chłopcem, i dawszy mu stół i stancją, bez płacy dał mu zajęcie w biórze swojém. Niedługo jednak znajdował się w tém biórze, bo w skutek zajścia z sekretarzem dobrowolnie je opuścił i po pewnym przeciągu rozpaczliwéj nędzy, dostał się do kancelaryi mecenasa Franciszka Wołowskiego.

„Dla każdego innego 15to-letniego chłopca—pisze Królikowski w pamiętnikach swoich — w mojém położeniu, bez przyszłości i żadnych innych widoków, byłoby to szczęściem niezawodnie; ale znać gwiazda moja w inny świat prowadziła, inny mi zawód przeznaczała, zawód, którego powołaniem jest głęboka analiza serc i skłonności ludzkich, i dla tego po drodze zatrzymując mnie w tak rozmaitych kolejach, uczyła najprzód wytrwałości, cierpliwości, a nadewszystko poznawania świata i ludzi...”

Właśnie ta gwiazda, o któréj wspomina nasz artysta — przyprowadziła go wreszcie do urzeczywistnionych pragnień. Porzuciwszy zajęcia u Wołowskiego, posiadając mały zarobek w kieszeni, wstąpił do szkoły dramatycznéj przy Teatrach Warszawskich istniejącéj. Ale nauczyciel Kudlicz, nietylko że nie robił Królikowskiemu żadnych nadziei, ale nawet nie zwracał na niego żadnéj uwagi. Bez względu na moralną pracę, jakiéj się z zapałem oddawał młody aspirant do sztuki, zawód aktorski ciągle mu się przez łzy uśmiechał, tymbardziéj, że fundusik znowu się wyczerpał, a nie było znikąd żadnéj pomocy, bo ojciec, zabrany przez Augusta Wilkońskiego ucznia swego, opuścił Warszawę, a matka bawiła u krewnych na wsi. Jedna tylko siostra Andzia znajdowała się w Warszawie u dziadka referendarza Kruszyńskiego, który jednak zakazał bywać u siebie młodemu Janowi, z powodu gniewu na ojca. Poczciwa siostra ukradkiem przyjmowała brata i chowanemi resztkami obiadu podkarmiała pokryjomu wygłodzonego ucznia szkoły dramatycznéj. Brat zaś Leon, urzędujący w Municypalności, miał sam tak ograniczone fundusze, że się w żaden sposób nimi dzielić nie mógł. W tym jednak czasie, t. j. w r. 1836, Leon zaprowadził młodego Jana do Moszyńskiego, śpiewaka Teatrów Warszawskich, który mu zaproponował wyjazd na prowincję, aby tam popróbował swoich sił aktorskich. W kilka też dni młody Królikowski zaangażował się do towarzystwa organizującego się pod przewodnictwem niejakiéj pani Dąbrowskiéj, z pensją 60 złotych na miesiąc, i dostawszy 100 złotych zaliczki — wyjechał z nią do Lublina, celem występowania na tamtejszéj scenie.

Tu się zaczynają prawdziwe ciernie, o które się kaleczyła dusza młodego artysty, ciernie, z których jednak późniéj wyrosnąć miały kwiaty, związane ręką narodu w piękny wieniec włożony na głowę artysty, jako symbol uznania, sławy i... nagrody, jeżeli jest dostateczna nagroda za tyle przebolałych cierpień, za tyle łez gorzkich i upokorzeń...

W Lublinie, towarzystwo pani Dąbrowskiéj połączyć się musiało z istniejącém już tam towarzystwem Nowińskiego, a zatem i siedemnastoletni Królikowski, przeszedł pod dyrekcję tego ostatniego.

„Nareszcie d. 4 Listopada 1836 roku—są słowa Królikowskiego—miałem wystąpić pierwszy raz w roli Karola, w komedji „Wszystkowiedz.” Im bardziéj zbliżała się ta chwila, tém większą gorączkę i trwogę czułem w sobie. Chodziłem prawie bezprzytomny.... Prawdziwą ulgę znalazłem jedynie w modlitwie.... Nadszedł 4 Listopad. Pod wieczór dosyć odważnie poszedłem do garderoby teatralnéj. Dziwnie brzmiały mi w uszach żarty i gburowate rozmowy kolegów, którzy się ze mnie śmieli... ale zapomniałem wkrótce o wszystkiem, usłyszawszy dzwonek zwiastujący, że za kwandrans zaczyna się widowisko... Kurtyna poszła w górę... Nic nie wiem co się na około mnie dzieje; w tem przypada do mnie Dąbrowska i wo-

ła: „No już czas!” i... wepchnęła mnie na scenę... W oczach ściemniało mi zupełnie... Co mówiłem i czym co mówił — tego już nic nie wiem. Po pierwszéj scenie, upadłem na ławkę przy mnie stojącą. W następnych aktach odzyskałem cokolwiek przytomności, usłyszawszy jakiś łagodny szmer pomiędzy publicznością i z pobliskiéj loży wyrazy: „jakież to miłe dziecko...” Królikowski miał lat naówczas siedmnaście, ale wątła i delikatna powierzchowność, wydawała go jeszcze młodszym jak był w istocie.

Położenie młodego artysty, pod względem materjalnym, niewiele się polepszyło. Chłód i głód, to zwykli towarzysze prowincjonalnego aktora — a pod te czasy w których się znajdował Królikowski w Lublinie, teatr, a raczéj artyści byli w daleko gorszém położeniu jak dzisiaj... Szczególniéj też gdy Królikowski wyprowadził się od pani Dąbrowskiéj, która go raziła swoją zalotnością, walczyć musiał z nędzą nie do uwierzenia. Doszło wreszcie już do tego stopnia, że poprostu został na bruku, przy kilkunasto-stopniowym mrozie, bo stolarz u którego mieszkał, nie wpuścił go pewnego wieczoru do domu, z powodu że za komorne nie zapłacił; a tu rzeczywiście i nie było czém płacić nie tylko komornego, ale najprostszych potrzeb; bo entreprener nic nie dawał, a 8 złp., które Królikowski miesięcznie zarabiał za lekcje u jakiegoś rzeźnika — przy pomocy cudu chyba wystarczyćby mogły na najnędzniejsze utrzymanie. Pod względem karjery aktorskiéj, nic także godnego uwagi nie zaszło— uczył się różnych ról i jak sam powiada, uczył się tylko na pamięć— dopiero w komedji „Kominiarz” w roli Antosia, wywołał huczne oklaski i zaraz też zaangażowany został do towarzystwa Chełchowskiego, który zjechał do Lublina i zmusił towarzystwo Nowińskiego do połączenia się z nim. Chełchowski, człowiek nadzwyczaj zręczny, ale komedjant w życiu, i nie rachujący się bynajmniéj ze środkami w dopięciu celu, a przytem poziomego wykształcenia umysłowego, nie mógł być ani opiekunem młodego artysty, ani przewodnikiem na drodze sztuki. Od miasta do miasta, jak to zwykle robi trupa prowincjonalna, wędrował nasz artysta ze swymi towarzyszami. — Dłużéj nieco zatrzymało się towarzystwo z tym samym Chełchowskim w Płocku. Tu w małym pokoiku, w rynku, gdzie ich dziewięciu sypiało, ciągnął daléj Królikowski poczynający żywot artysty dramatycznego — miłe zachowując do dzisiaj wspomnienie dla tamtejszych mieszkańców, którzy okazywali wiele sympatji dla artystów, przyjmując ich w domach swoich. We wdzięcznéj również pamięci z tych czasów zachowuje Królikowski pewnego żyda, który z nimi nawet w owym pokoiku razem mieszkał. Poczciwy ten żyd pożyczył Chełchowskiemu pieniędzy i dla częściowego ich odbierania znajdował się ciągle razem. Poznał on pracę i biedę młodych aktorów — płakał i śmiał się z nimi, zaspakajał ich potrzeby; gdy ci pieniędzy nie mieli, przyrządzał bezinteresownie posiłek i palił w piecu, aby po powrocie z próby, lub przedstawienia, zastali jaki taki wypoczynek — a gdy się rozstać musiał, płakał jak dziecko, bo całém sercem pokochał młodych aktorów...

Nareszcie w 1840 roku, Królikowski z towarzystwem Chełchowskiego przybył do Krakowa. Świetne pomniki przeszłości, historja wyryta na każdym kamieniu, na każdéj cegiełce — silnie oddziałały na młodego aktora. Krytyka tamtejsza zwróciła zaraz uwagę na Królikowskiego, ale dopiero w roli Don Cezar de Bazan, w trajedji Ruy-Blas wywołał powszechny zapał i zyskał sobie zupełne uznanie u krakowskiéj publiczności. Odtąd życie naszego artysty weszło już na pewną drogę i gwiazda świetnéj przyszłości co raz wyraźniejsze rzucała promienie... Talent Królikowskiego mężniał z każdą chwilą i już w 1842 r. w Poznaniu, zjednał sobie taką sławę aktorską i taki ogólny szacunek, że wydano mu ucztę, na któréj się znajdowało przeszło 200 osób. Uczta ta wyryć się musiała w pamięci młodego artysty nazawsze... Na niéj serdecznie przemawiał do Królikowskiego czcigodny Libelt. Z serca płynącemi słowy skreślił powołanie aktora, w kilku wyrazach podniósł potęgę talentu młodego artysty i pierwszy przepowiedział mu najświetniejszą przyszłość. Następnie poeta Berwiński, niedługą ale jak słońce orzeźwiającą improwizacją, zakończył biesiadę. Chwila ta, jak utrzymuje sam Królikowski, stanowczo wpłynęła na dalszą jego pracę. „Porównać ją tylko mogę — pisze do mnie w liście — z pierwszém na benefis mój przedstawieniem „Zbójców,” Dwa

KAZANIE SKARGI.



KOPJA OBRAZU JANA MATEJKI.

błyski świetne — jeden w początkach mego zawodu, jako zachęta, drugi przy końcu, jako nagroda za czystą miłość do sztuki i pracę”...

W r. 1846, d. 31 Marca przybył Królikowski do Warszawy. W artykule dziennikarskim, w którym nie wolno mi się rozszerzać zbyt szeroko — nie mogę też śledzić za każdą chwilą olbrzymiejącego talentu tego artysty. Szedł on ciągle naprzód. Głębokie studja, żelazna praca i wrodzone zdolności podały sobie ręce, przeniknęły tajemnice sztuki dramatycznéj i utworzyły z Królikowskiego potęgę aktorską, która jaśnieje obok paru zaledwie najpierwszych gwiazd scenicznych europejskiego znaczenia. We wszystkich kreacjach Królikowskiego uderza przedewszystkiem nadzwyczajna głębokość pojmowania charakterów ludzkich. Zdaje się, że dla niego serce człowieka, nie ma żadnych tajemnic. Poszanowanie dla sztuki, któréj jest prawdziwym kapłanem, nie pozwala mu lekceważyć choćby niewielkiéj roli. Od Franciszka Moora i Szajloka, aż do małéj roli w komedyjce „Było to pod Wagram” — wszystko nosi na sobie piętno genjalnego wykończenia pod względem sztuki i filozoficznego wniknięcia w ducha tego człowieka, którego postać moralną ma scenie odtworzyć. Wszystkie szczegóły w roli, mają widocznie dla tego artysty swoje prawa — to też całość wychodzi zawsze wzorowo; a jeżeli postacie Królikowskiego nie wszystkie są równe pod względem artystycznego natchnienia—to już wina sztuk samych i autorów. Bo co tu np. można zrobić z takiego „Żyda” Lubowskiego, który pod względem artystyczno-życiowym, pozbawiony jest wszelkich cech prawdy, będąc jedynie nędzną, bez żadnego talentu, lepianką komunałów fanatycznych — i gdyby nawet Mojżesz z grobu powstał, toby nie odgadł, co ten Żyd jest za stworzenie?...

Tam, gdzie charakter postaci, pod względem psychologicznéj loiki, posiada warunki bytu, tam natchnienie aktorskie Królikowskiego widnieje w całéj potędze. Taki Franciszek Moor w „Zbójcach,” jest w grze Królikowskiego, ze stanowiska charakterystyki, tak głęboko i filozoficznie pomyślany, że obok podziwu, niemal przeraża plastycznością najtajemniejszych funkcyj serca ludzkiego. Inteligencja aktora w utworzeniu na scenie téj postaci, idzie prawie o lepsze z samym pomysłem autora. Królikowski nie zapomniał tu o najmniejszéj pulsacji tego charakteru, w którym Szyller chciał uosobić całą ujemną szkaradę człowieka... Harmonja w grze jest tak wielka, że cała postać pod względem artystycznéj plastyki, jest posągową... Ta harmonijna całość w postaciach Królikowskiego, jest wydatną właściwością jego talentu. Odrazu przenika on cały charakter, przetrawia go w swojéj artystycznéj intelligencji, wiąże wszystkie nici duchowéj organizacji — i na scenie porusza się już jako skończona całość pod względem artystycznéj charakterystyki, któréj nie brakuje nic. Nie podobna mi przebiegać wszystkich ról tego artysty — to jednak co wyżéj powiedziałem, ze stanowiska ogólnéj krytyki, da się zastosować niemal do wszystkich. Każdy wielki artysta dramatyczny, odznacza się przedewszystkiem pewną właściwością aktorskiego natchnienia. Królikowski, zdaniem naszém, zdumiewa przenikliwością analizy ludzkich charakterów i filozoficzném wniknięciem w ducha każdéj postaci, którą ma odtworzyć na scenie. Przy takim stanie rzeczy, szczególne momenty dramatycznych sytuacyj wyjść muszą po mistrzowsku, bo artysta wniknąwszy w cały charakter, ani jedném poruszeniem muskułu wyjść z niego nie może i tym sposobem wszystkie promienie gry schodzą się w jedno wspaniałe ognisko...

Głos Królikowskiego, posiadający stosunkowo nierozległą skalę, — pod względem wyrobienia i władania, — doszedł do maximum. Fenomenalną prawie rzadkością jest umieć robić to z głosem co robi Królikowski. Od krzyku aż do szeptu — nie traci nigdy charakteru sytuacji. W rolach serjo dramatycznych, szept ma ogromne znaczenie. Rzadko jednak spotyka się artystę, którby umiał należycie użyć głosu pod formą tragicznego szeptu. Szept Królikowskiego jest mistrzowski, przenikliwy, poruszający najmniejszy nerw w organizacji słuchu i równie dobrze i wyraźnie wpada w ucho w pierwszym rzędzie krzeseł, jak i na paradyzie. Widziałem wielu znakomitych artystów dramatycznych—jednak, nie wyjmując nawet Dawidzona, nie zdarzyło mi się spotkać z podobnego rodzaju ogromem głosu, o skali zaledwie średniéj, którby pod pressją aktorskie-

go natchnienia, tak rósł, tak mężniał, tak się układał na wszystkie strony, takim poprostu był niewolnikiem artysty, jakim jest głos Królikowskiego... W jednéj chwili zatrząśnie całym tobą, że ci włosy na głowie powstaną, i w téj samej chwili, stanie się tak miękki, tak rzewny, że zdaje się, iż chyba nie z tych samych piersi wychodzi.....

Oto jest krótki życiorys *Jana Królikowskiego*, na który zaledwie wystarczają ramy zwykłego literackiego pisma. W dziejach sztuki, z ogólnego stanowiska uważanéj, zajmuje on miejsce, które należycie i z całą wyczerpującą drobiazgowością wszystkich właściwości tego wielkiego talentu — ocenioném zostanie.

Królikowski jest dziś w sile wieku. Otoczony kochającą i przez niego ukochaną rodziną, wielbiony i szanowany przez publiczność, która przy każdém wystąpieniu obsypuje go kwiatami najżywszéj sympatji i uwielbienia, do czego oprócz aktorskiego genjuszu, dają mu zupełne prawo czyste cnoty obywatelskie—długo jeszcze będzie jaśniał jako pierwszorzędna gwiazda na scenach naszych—a nazazawsze zostanie w historji sztuki, w pamięci i sercu ogółu.

M. Dzikowski.

GERTRUDA KOMOROWSKA.

Jedyne większe dzieło Antoniego Malczeskiego, poemat p. n. *Marja*, należy do téj nielicznéj ale wyborowéj biblioteki, któréj wszystkie dzieła, nie mówiąc o wielokrotnych edycjach księgarskich, doczekały się pomieszczenia w najzaszczytniejszéj dla autorów książnicy — w pamięci narodu. Przywodzić jego treść, przytaczać ustępy, byłoby to powtarzać rzeczy na pamięć umiane; niech nam bowiem wskaże kto może, kogoś umiejącego czytać, ktoby nie znał i nie umiał na pamięć najpiękniejszych przynajmniéj ustępów, począwszy od tego, tylekroć trawestowanego, a zawsze pięknego ustępu:

Ej! ty na szybkim koniu, gdzie pędzisz kozacze?...

Malczeski pisał swój poemat na tle rzeczywistego wypadku. Gdyby nie pieśń poety, zapomnianoby zapewne i o bohaterce krwawego familijnego dramatu, Gertrudzie Komorowskiéj. Wieszcz ją unieśmiertelnił, wraz z swém dziełem. Nie wspomniał o niéj w żadnym przypisku do utworu; studjujący poemat odkryli jednak fakt, który pieśniarz wziął z rzeczywistego życia i oświecił promieniami słońca poezji. August Bielowski, wydając *Marję* we Lwowie, w roku 1845, dołączył do niéj autentyczne dokumenty tyczące się bohaterki poematu, a poszukiwania innych badaczy uzupełniły życiorys Gertrudy Komorowskiéj, który tu powtórzymy w krótkości, jako objaśnienie do załączonego portretu.

Dla czytelników naszych życiorys ten i historyczny opis wypadku, będzie wskazówką, czém się staje wypadek z życia wzięty pod piórem talentu lub genjuszu. Będą mogli porównać Marję z Gertrudą, wojewodę z poematu, z Franciszkiem Salezym Potockim, miecznika z Jakóbem Komorowskim, kasztelanem santockim, a wreszcie bohatera pieśni Wacława, ze słynnym z innych względów Szczęsnym Potockim. Zestawienie takie wskaże najlepiéj, że poeta nawet wówczas gdy przedmiot swój czerpie z dziejów, nie przestaje być twórcą, i wypadki rzeczywiste do potrzeb téj twórczości nagina, a całą akcję przenosi w świat inny, w którym jest nieograniczonym i wszechwładnym panem.

Franciszek Salezy Potocki, wojewoda kijowski, był panem ogromnéj fortuny, magnatem, którego ambicja sięgała tak daleko, że nawet o koronie marzył, a gdy ją, wbrew jego nadziejom, otrzymał Stanisław Poniatowski, zawód ten ciężko przebolał. Od tego czasu stał się dziwakiem, ponurym, duma jego magnacka spotęgowała się jeszcze, a rezydencja, Krystynopol, chociaż zawsze świetna i pańska, osmutniała i sposępniała. O jego majątku, dumie i dziwactwie zarazem, najlepsze da wyobrażenie, że raz cierpiąc na *katar*, sprowadził sobie na kurację nadwornego lekarza cesarzowéj austrjackiéj Marji Teresy, i chciał tego lekarza przy sobie zatrzymać, ofiarując mu większą pensję niż cesarzowa.

Wojewoda z pierwszą swą żoną z domu Rzeczycką, wdową po staroście bareckim Cetnerze, żył dosyć krótko, i syna którego mu pozostawiła utracił prędko. Powtórnie się ożenił z krewną swoją, Anną Potocką, wojewodzianką poznańską, która mu wielkie dobra w posagu wniosła.

Wojewodzina była panią dumną, nadzwyczajnie przepisów etykiety przestrzegającą, nieugiętą i nieumiejącą przebaczać, chimeryczką a obawiającą się żeby ją o chimery nie posądzano, w pilnowaniu zaś dobrych obyczajów na swym dworze bardzo surową. Im była starszą, tém te wady i przymioty bardziéj się potęgowały.

Szczęsny Potocki—w poemacie Wacław—był jedynakiem takich rodziców, bratem czterech sióstr. Łatwo pojmiemy jakie wychowanie otrzymać musiał taki jedynak, że go pielęgnowano i pieszczono, uczono wiele, zachęcano do cnót i pobożności, bo „to nie szpeci kawalera i owszem u zacnych i dystyngowanych ludzi, daje dystynkcję i akceptację” [1]) pilnowano nieustannie, przestrzegano, żeby nie miał swéj woli—„bo to mu na sławie szkodzić będzie i ojciec tego nie lubi” [2]), a w końcu zupełnie popsuto, zwłaszcza, że matka w domu miała nad swym mężem przewagę. Ścisła etykieta dworu rodziców, trzymanie go w ciągłéj podległości, nawet w tym wieku, gdy w młodzieńcu rozwijają się już najbujniejsze marzenia, uczyniły Szczęsnego smutnym, małomównym, nieśmiałym, wśród bogactw i przepychu tęskniącego do swobody, któréj mniéj hojnie uposażonym od fortuny musiał zazdrościć. Mimo to, umysł jego rozwinął się, ukształciło się serce, dobre z natury, ale nie wyrobiło się to, co nazywamy charakterem, to jest harmonja rozumu i uczuć. Zbyt długie pozbawienie samodzielności, nie dało się rozwinąć energji i sile ducha.

Oto są główne osoby stanowiące jedną stronę w dramacie. — Przypatrzmy się teraz drugiéj stronie.

Komorowscy, Jakób i Anna, starostwo nowosielscy, mieszkali w okolicy rezydencji wojewody kijowskiego, w majętności Susznie. Była to stara szlachta, dobrego gniazda, ale niemajętni i liczną obciążeni rodziną. Jeden z téj rodziny Adam, stryj Jakóba, był arcybiskupem gnieźnieńskim i prymasem. Był to największy dostojnik w rodzie, za owych czasów, kiedy wartość rodów i nazwisk nie wartością osobistą ludzi, lecz liczbą dygnitarzy między antenatami mierzono, szlachetnością więc krwi, jak mówiono podówczas, mogli się Komorowscy mierzyć z Potockimi, a przynajmniéj nie ustępowali im bardzo; za to drobna ich kilkowioskowa chudoba, nikła jak mała gwiazdka przy słońcu, przy magnackich posiadłościach wojewody.

Między Potockimi i Komorowskimi istniały nadto stosunki sąsiedztwa i koligacji dosyć życzliwe. Komorowscy bywali w Krystynopolu i mile ich tam przyjmowano.

Eteryczna Marja z poematu, a imieniem właściwém Gertruda, miała trzy siostry i czterech braci. Wszystkie siostry były piękne, lecz ona z nich najpiękniejszą. Panny Potockie przyjaźniły się z niemi; możebność spokrewnienia się obu domów, nikomu jednak nawet przez myśl nie przeszła. Dla jedynaka takiego pana jak wojewoda Franciszek Salezy, w marzeniach rodziców, chyba królewna lub udzielna księżniczka, właściwą partją by być mogła.

Szczęsny, nie potrzebował zatém szukać sposobności poznania Gertrudy, poznał ją w domu swych rodziców, a widząc ich grzecznie przyjmowanemi, nie sądził może, żeby jego miłość na wielkie narażoną była przeszkody. Ścisła etykieta Krystynopolska nie pozwalała mu się zbliżyć do panny; rodziców o pozwolenie bywania w Susznie prosić nie śmiał, uciekł się więc do podstępu. Ludzie przychylni mu na dworze ojca, wmówili w matkę, że syn potrzebuje ruchu i hartowania się właściwego mężczyznie. Wojewodzina pozwoliła aby jedynak objeżdżał straże, które Potoccy w owych czasach niespokojnych, trzymali na granicach swych posiadłości, pod przewodnictwem jednego z zaufanych, który w wycieczkach miał mu być ochmistrzem. (d. c. n.)

KAZANIE SKARGI.

W życiorysie Jana Matajeki, na str. 11-éj *Opiekuna Domowego* z r. b. mówiliśmy o obrazie tegoż malarza w 1862 r. wykonanym, a przedstawiającym Kazanie Skargi. Dziś, podając obraz ten w drzeworycie narysowanym przez samego Matejkę, winniśmy objaśnić, że przedstawia on księdza *Skargę*, którego szczegółowy życiorys podany był w *Opiekunie Domowym* z r. 1866 Nr. 34 — a przedstawia kazącego w obec Zygmunta III i dworu jego — gromiącego występne życie dworzan i panów.

[1]) Słowa z listu wojewody, pisanego do syna w wiele lat późniéj, dnia 30 Stycznia 1770 r. Obacz J. I. Kraszewskiego *Starościna Bełzka*, tom drugi, str. 62.

[2]) Również z listu wojewody do syna pisanego d. 14 maja 1772 roku. Ob. tamże str. 85.

ŻÓŁTY WUJASZEK.

OPOWIADANIE,

przez

Władysława Łozińskiego.

I.

„Dziwnie to się plecie, na tym bożym świecie“, powtarzali starzy i powtarzają dziś młodzi, za panem Kochanowskim, z tą wszelako walną różnicą, że pierwsi bodaj czy nie większą mają do tego racyą, aniżeli drudzy. Jakoż ja z przekonania czy uprzedzenia— u starych na jedno to wychodzi—twierdziłbym gotów, że dziwnie się plotło, i że teraz już tak dziwnie się nie plecie jak dawniéj.

Niechaj mówi kto co chce, ja przy swojém obstawać będę, że życie dziś ani tak barwne ani tak obfite w ciekawe przygody, jak dawniéj było. Widzi mi się, że ludzie dzisiejsi jak w sukniach swych tak i w kolejach swego życia podobni są tak do siebie, jakby z pod jednego maszynowego wyszli stępla. Wszystko to dzisiaj idzie porządnie, niby gładko i z reguły, ale nie znaleść w tém ani barwy, ani oryginalności, ani przygód, któreby zapamiętać było warto.

Jak się tylko urodzisz, już ci dziś z góry wypisać można *curiculum vitae*, i to bez wszelkiéj zasługi proroctwa. Zrównało się to wszystko, pod strychulec poszło; a jak trudno niebawem będzie znaleźć nawet i u nas, gdzie jak wiadomo nadinżynierem dróg i mostów bywał djabeł, tradycyjnie lichą i przepaścistą drożynę, na którejby się człowiek podawnemu porządnie mógł wywrócić wózkiem, choćby ku temu rzetelnę miał ochotę, tak i w życiu, po udeptanych ścieżkach jego, przemykają się dziś ludzie spieszniéj i gładziéj zapewne, ale też i daleko nudniéj, według mego zdania.

Dobrze powiedział mi raz pan Marek, że dziś wszelką siłą trzeba się chyba usadzić, aby guza oberwać, i że kto zasmakował dawniejszych awantur, ten chyba z Europy do dzikich okolic drugiéj półkuli świata przenieść się musi... Jakoż zważmy tylko, co nam nasi dziadowie mieli do opowiadania, a co my mamy, a cóż dopiero nasi wnukowie mieć będą?...

W tém to podobno szukać właściwéj przyczyny, dla któréj dziś trudno o starców dawnego kroju, tak żywych, wesołych i przyjemnych... Starcy żyją wspomnieniami, i one są treścią ich umysłu pod schyłek żywota. A zkądże wziąć wspomnień, jeżeli się nie miało ciekawych przygód i wypadków w życiu?... Czem tu się na starość ustrzedz przed znużeniem, wyczerpaniem i nudami?...

Ale dam pokój tym introdukcyjom, abym według danego przysłowia nie był podobien temu, co rozebrawszy się do koszuli, gorzéj skoczył, niż póki skakał w kabacie. Zresztą, ów co czytać będzie ten urywek z mojego życia, wziąć gotów ten ustęp cały za zachwalenie przygody, którą opowiedzieć zamierzam; a mocnoby się może zawiódł na tém. Uprzedzić także muszę czytelnika, który się może przestraszył potrosze, że w opowiadaniu mojém coś z archaicznego zarywam języka, że z nie tak bajecznie starych jestem czasów, i że go nie będę raził tak obcą już dzisiejszym uszom staroszlachecką zwadą. Zwyczajnie to tak bywa, że człowiek przegryzłszy się do wieku, w którym się już więcéj opowiada niż robi, zaczyna powieść takim kształtem, jak to czynił dziad jego, może dla tego, aby mu się tak uroczyście dziwiono, jak on się dziwił swemu dziadkowi...

A teraz, co rychło do rzeczy.

Nigdy nie mogę pomyśleć o Basztokolu, choć górą trzydzieści lat jak tam nie byłem, aby mi się prawie łzy rozrzewnienia nie zakręciły pod siwemi powiekami. W Basztokolu bowiem wychowałem się i pierwsze lata młodości spędziłem. Basztokole była to wioska mała bardzo, podzielona między dwóch właścicieli. Jednym był pan marszałek Olesza, drugim nieboszczyk mój ojciec.

Dlaczego się wioska nasza zwała Basztokole, różnie to mówiono i wywodzono; najłacniéj pono dedukować tę nazwę od wielkiéj baszty, położonéj na wzgórzu, w samym środku wsi, a stanowiącéj jedyny szczątek dawniejszego zamku obronnego, który znajdował się kiedyś na tém miejscu. Do téj baszty, która sierocą swą koroną sterczała z pagórka pod firmament, przybudował pan Olesza swoje domostwo, co wielce dziwacznie wyglądało. Pan Olesza kazał nawet wyrestaurować dół i pierwsze piętro baszty, przeznaczając je na gościnne pokoje, choć Bogiem a prawdą, nikt tam nigdy nie gościł.

Mój ojciec miał swoje domostwo na dole we wsi, po drugiéj stronie pagórka. Był to stary dwór drewniany, nie o wiele zapewne młodszy od owéj dawnéj baszty pana marszałka Oleszy. Miły Boże, jak mi zawsze stoją przed oczyma drewniane ściany ojcowskiego dworka, ile to rzeczy minionych zdają mi się opowiadać wszystkie jego kąty!...

Pana Oleszę łączyła z ojcem moim najściślejsza przyjaźń i zażyłość sąsiedzka. Znali się oni od młodości, ale się bardzo długi czas potem nie widzieli, bo pan Olesza przebywał ciągle przy świetnym dworze pana Łosia w Narolu, i dopiero po jego śmierci porzucił swój urząd marszałkowski i wrócił do zagrody. Pan Łoś był to wielki dziwak swego czasu, a pan marszałek Olesza cuda prawdziwe o nim opowiadał. Na wołowéj skórze nie spisałbym tego, com się dzieckiem jeszcze nasłuchał o nim od pana marszałka, począwszy od historyi sławnego pomnika przy rzece Tanwi, aż do figlów z żydowskimi piekarzami w Narolu i sądu pociesznego na psy, co kreiskapitanowi frak poszarpały... Ale nie pora tu mówić teraz o tem, może kiedyś — później.

Nie minął nigdy dzień, aby mój ojciec nie był u Oleszy, albo Olesza u mego ojca. Ja zaś to prawie ciągle siedziałem u pana marszałka. Nie miałem matki ani rodzeństwa, więc nieraz markotno było dzieciakowi—a w dworze pana marszałka było się z kim pobawić i było co oglądnąć.

Pan Olesza miał przy sobie małą dziesięcioletnią wnuczkę, sierotę i dla niéj sprowadził do domu daleką bardzo krewniaczkę, ot tak, jak to mówiono: po dziesiątéj wodzie na kisielu z litewska, a po dziesiątym kole w płocie z ruska, niegdyś pannę na respekcie u pani starościny Kossakowskiéj, kiedy ta mieszkała w Stanisławowie a potem we Lwowie. Nudne to było kobiecisko, zanadto gderliwe a mocno nabożne, ale dobre, czułe, z sercem co się zowie złotém.

Pod opieką panny Agnieszki Kokorzyńskiéj tedy i dziadka starego, wychowało się i rosło śliczne, gdyby kwiatuszek polny, owo sierocię, wnuczka pana marszałka, Helenka. Pan Olesza jedynym był po Bogu opiekunem Helenki, bo ją niemowlęciem jeszcze odumarli rodzice, a Helenka nawzajem była panu Oleszy jedyną pociechą życia. Miłował on to, pieścił, hołubił, że i opisać trudno; nie przesadzę, gdy powiem, że bez wachania byłby się wyrzekł swego klejnotu i poszedł do żyda na służbę, co bywało najstraszniejszém zaklęciem u niego, gdyby szczęście Helenki tego mogło kiedy wymagać.

Otóż biegałem będąc chłopięciem, do domu pana marszałka, aby się bawić z Helenką, którą jak siostrzyczkę rodzoną ukochałem, i aby zjadać słodkie pierniczki i gruszki na miodzie smażone, których zawsze pod dostatkiem miała panna Agnieszka, a których nam nigdy nie skąpiła. W dnie letniéj pogody, nie było jednéj stopy ziemi na pagórku i na sąsiedniéj łące, na któréjby nie postała nasza noga, śród igraszek dziecinnych, — słotną porą zaś, udawaliśmy się z panią Kokorzyńską, lub sami, do staréj baszty, i w dolnych tak zwanych gościnnych jéj izbach, okrągłych i ponurym cieniem sklepień omroczonych, bawiliśmy się całymi dniami. Helenka choć cztery lata młodsza odemnie, nadawała ton zabawom, a najmilszą z nich była gra w senatorstwo. Wówczas ja byłem senatorem, Helenka panią senatorową, i trzebaż było widzieć to miluchne, żywe furkadełko, jak minką nastrojoną poważnie, zadartym noskiem i arcy pocieszną fumą, zawstydzało swojego towarzysza, który w żaden sposób nie mógł sobie przyswoić dystynkcyi senatorskiéj.

Pewnego razu, wśród podobnych igraszek, zwróciliśmy uwagę naszą na nizkie dębowe drzwi, które przy drzwiach głównych zdawały nam się być zbyteczne, w dolnéj izbie basztowéj. Zagadkowe te drzwi, wzbudziły naszą dziecinną ciekawość! Zwłaszcza moja imaginacja, którą zawsze dziwnie poruszały ponure i poważne mury baszty, mocno się zajęła tém tajemniczém dla mnie wyjściem. Korzystając z nieobecności pani Kokorzyńskiéj, która nam tą razą nie towarzyszyła, postanowiłem je otworzyć. Helenka przestrzegała, groziła gniewem dziadka, ale nic to nie pomogło. Podsadziłem się całą siłą pod drzwi i oburącz zacząłem cisnąć podrdzewiałą już dobrze klamkę. Drzwi nie chciały się zrazu otworzyć, ale za podwójném naciśnięciem uchyliły się nagle.

— Chodźmy tam! Nie byliśmy tam jeszcze!—zawołałem pełen przedsiębierczego animuszu.

Moja młoda towarzyszka zawahała się, jakby lękała się tak awanturniczéj wycieczki, ale naglona przezemnie a ośmielona jasnym promieniem słońca, które wybiwszy się z pod dżdżystych chmur, niespodziewanie zabłysnęło przez okrągłe okno baszty, chwyciła się mego ramienia i poczęła wraz ze mną wspinać się do góry. Tak stanęliśmy na pierwszém piętrze baszty, ogromnie uradowani, że odkryliśmy nowy świat dla naszych zabaw i pustot dziecinnych. Wyżéj iść nie było można, bo skręt schodów na drugie piętro, kazał był dziadek przy restauracji dołu zabić deskami. Za to jednak mieliśmy przed sobą drzwi, które wiodły do izby na pierwszém piętrze. Potrąciłem je silnie i zaczarowany przybytek rozwarł się przed nami. Wciągnąłem za sobą Helenkę, która dawszy się tak zaawanturować, od-

dała się już całkowicie w ekskursji téj pod skrzydła mojéj mężnéj opieki, co mnie, tyranizowanemu zazwyczaj przez jéj spryt dziewczęcy, niezmiernie pochlebiało.

Izba basztowa na pierwszém piętrze, zmieniona także, jak wyżéj powiedziano, na drugi pokój gościnny przez pana marszałka, zachowała daleko więcéj cech starożytności niż dolna. Nie była bieloną jak tamta, lecz zachowała szarą swą barwę poważną, a ściany ozdobione były rzeźbami z piaskowego kamienia, które wyobrażały hełmy, miecze, stosy kul działowych i inne rycerskie symbole.

Kiedyśmy stanęli u progu, zaglądało słońce wesołém okiem przez okrągłe małe okno, ale snać okryte nagle przez chmurę, bo dzień był niepogodny, zgasło zdradziecko. Głębokie cienie, przecięte mdławą strugą światła, którego skąpo użyczało okrągłe okno, rozwiesiły się po łukach sklepienia i nadało basztowéj komnacie jeszcze więcéj ponuréj grozy.

Helenka przytuliła się do mnie z lękiem, a i mój chełpliwy animusz poniósł nieco szwanku. Chciałem już wracać i rzuciłem niejako pożegnawcze spojrzenie po ścianach. Wzrok mój zabłąkał się w cieniach szarawych — i oto nagle widok przerażający przejął mnie zimném mrowiem trwogi....

Skamieniałem prawie na miejscu i zaledwie tyle miałem przytomności, że usłyszałem wykrzyk Helenki i uczułem silne ściśnienie ramienia, z którém się splotły drżące rączęta méj malenkiéj przyjaciółki.

Oto w najmniéj oświetlonéj części basztowéj komnaty, tuż przy saméj ścianie, stało widmo dziwne i przerażające.

Był to bardzo wysoki i bardzo chudy mężczyzna, z długą, kościstą twarzą, z spiczastą brodą, z nosem długim i zakrzywionym, z wzrokiem czarnym i przenikliwym.

Miał na głowie perukę na biało upudrowaną, z katagonem z tyłu kokardą przewiązanym, z lokami i pizonami po bokach, ubrany był w żółty frak z klapami, ozdobiony haftem i szlifami złocistemi, w białe spodnie z karmazynową przewiązką, w białe pończochy i trzewiki o błyszczących sprzączkach. Od ramion spływała mu złocista szarfa i kutasami łączyła się z rękojeścią biało oprawnéj szpady; u lewego ramienia połyskiwał jakiś order, a z pod pachy wyglądał trójgraniasty kapelusz.

Szczęściem nie patrzyło we mnie to widmo, oczy jego czarne i duże były odwrócone w inną stronę, bo stało bokiem do nas. Chciałem uciec, ale coś mnie przykuwało do miejsca. Chciałem odwrócić oczy od żółtego upiora, ale więził on wzrok mój niepokonaną siłą....

Powtórny wykrzyk trwogi Helenki, obudził mnie z tego odrętwienia. Ocknęła się we mnie ambicja, a że z natury byłem śmiałym dzieciakiem, więc niebawem przyszedłem do pewnéj równowagi. Przetarłem oczy i śmiało zmierzyłem widmo.

Jegomość w żółtym fraku stał nieruchomy, bo też i trudno mu było się ruszyć.

Był malowany....

Ujrzałem teraz dopiero, że był to duży bardzo obraz bez ram, niezawieszony, ale oparty o ścianę. Był to widocznie jakiś portret w naturalnéj wielkości. Ciemne tło, na którém wymalowany był mężczyzna w żółtym fraku, nieodgraniczone ramą, spłynęło z cieniami, a z cieni tych wystąpiła tym sposobem jaskrawo namalowana postać.

Odetchnąłem.

— Nie bój się Helenko — zawołałem — to obraz tylko.

I chciałem postąpić bliżéj i dotknąć się malowidła, ale opór przerażonego śmiertelnie dziewczątka, skłonił mnie do cofnięcia się z basztowéj izby.

(d. c. n.)

F R A S Z K A

BONUŚ W TAŃCU.

Pomysł i rysunek **Leona Kunickiego**.

(*Dokończenie*).



Nr. 5. *En avant deux* solo, Bonuś wykonywa z precyzją znakomitą.



Nr. 6. W przestankach między figurami, Bonuś bawi swą tanecznicę rozmową o pogodzie i deszczu.



Nr. 7. W ostatniéj figurze, zaimprowizowanéj z Mazurem, Bonusiowi się zdaje że już ostatnia dla niego wybiła godzina.



Nr. 8. Dziękując swéj damie za kadryla, wdzięcznym ukłonem, rozdziera jéj ogon od sukni.

Wydawca, Mieczyński Adam. — Дозволено Цензурою. 16 (28) Января 1871 г. — Redaktor, Stanisławski Oskar.

w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. *b*.